Ner 1. Kraków 1 stycznia 1870. Rok V.

KALINA

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.

Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny“ — w Krakowie.

O WYCHOWANIU KOBIET

W AMERYCE.

Od pewnego czasu, od lat kilku mianowicie, zaczęto w Europie podnosić kwestję tak zwanéj *emancypacji kobiety.* W Anglii wziął ją w ręce sławny Stuart Mill, we Francji głośne w swoim czasie prawo o wychowaniu dziewcząt, które tyle wywołało hałasu, dało dowód, że tam rząd nawet zastanawia się nad nią. W Rossji nawet, kobiety rzuciły się do wyższego wykształcenia. U nas, najmniej może, ważna ta i niezawodnie cechą wieku będąca kwestja wzbudza dotąd zajęcia. Emancypacja kobiety, źle zrozumiana, pojęta jako *wynaturzenie się*, ośmieszona, ma licznych bardzo przeciwników nietylko wśród mężczyzn, ale nawet w gronie samychże naszych aniołów.

A jednak potęga idei zdrowéj jest tak nieprzepartą, że mimo wiedzy i woli nawet i u nas przygotowywa się owa przerażająca reforma, i choć powolniéj jak inni, idziemy przecież do emancypacji.

„Jakim sposobem?“ zawoła niejedna z naszych czytelniczek. Bardzo naturalnie. A ku czemuż to prowadzą te wszystkie wykłady dla kobiet, te prelekcje płatne i niepłatne? Alboż sądzicie panie, że razem z wykształceniem nie przyjdzie i pora emancypacji? Ale emancypacji *rozumnéj,* niezasadzającéj się bynajmniéj na paleniu cygar, jeżdżeniu konno, lub klęciu jak huzar, ale na têm porównaniu praw pisanych i zwyczajowych, jakiego sprawiedliwość wymaga, na têm choć późnêm uznaniu, że kobieta jest równą mężczyźnie istotą.

To też przeciwnicy wszelkiego postępu, widzą to i głównie walczą przeciw reformie w wykształceniu i wychowaniu kobiet, przeciw otworzeniu dla płci żeńskiéj takich samych szkół, w jakich się kształcą mężczyźni. A falanga tych wsteczników, choć codzień się zmniejsza, potężną jest przecież jeszcze w Europie, i zwolna zaledwie ustępuje pola nowym i sprawiedliwszym ideom. Ale kiedy w staréj Europie walka się ta toczy i pytanie: czy można i należy tak kształcić kobiety, jak się kształci mężczyzn? jest jeszcze kwestją sporną — to na drugiéj półkuli, pytanie to dawno zostało rozstrzygnięte, a raczéj nigdy postawionêm niebyło.

Tam niepytano się o teorję — jak we wszystkiem odwołano się do doświadczenia, otwarto wszystkie szkoły kobietom, a rezultaty przekonały, że miano rację.

Młode amerykańskie społeczeństwo nieobarczone ciężarem tradycyi i przesądów, odrazu przyznało kobiecie równe stanowisko i prawo jéj do oświaty. Okoliczności przyczyniły się do tego. Tworząca się na pustyni osada, myślała przedewszystkiem o kościele i szkole. Ręce męzkie były w polu potrzebne, więc szkołę powierzono kobiecie. To był pierwszy jéj szczebel do faktycznego wyzwolenia się. Zawsze liczba nauczycielek przeważała liczbę nauczycieli, a gdy wojna ostatnia pochłonęła wielu ostatnich, dziś proporcja ta wynosi 70 na 100 (na 350,000 nauczycieli i nauczycielek w Stanach Zjednoczonych pierwszych jest 150,000, drugich 200,000). Wreszcie patrjotyzm i poświęcenie, jakich dowody złożyły Amerykanki w ostatniéj katastrofie, jeszcze cześć i uszanowanie zwiększyły dla nich. Dziś, jak wiadomo, kobiety tam kończą uniwersytety, doktoryzują się, są lekarzami, inżynierami, adwokatami, kierownikami fabryk itd. W saméj Filadelfii jest sześć lekarek, *doctoresses*, zapisanych na liście opodatkowanych, jako mające dochodu od 10 do 50,000 franków, a w New-Yorku jedna z takich lekarek ma klientellę, zapewniającą jéj 80,000 fr. dochodu.

Ale jakim sposobem kobiety amerykańskie dochodzą do téj wyżyny umiejętności? jakie środki i ułatwienia naród i państwo oddają na ich rozporządzenie? Otóż o têm właśnie słów kilka powiedzieć chcieliśmy w niniejszym artykule.

Wiadomości te czerpiemy z artykułu p. C. Hippeau, znakomitego pedagoga francuskiego, który w przeszłym właśnie roku zwiedzał szkoły amerykańskie, i bacznie na miejscu przypatrywał się wszystkiemu.

Szkoły w Stanach Zjednoczonych, tak niższe jak wyższe są dwojakiego rodzaju, albo osobne dla chłopców i dziewcząt, albo wspólne, czyli tak zwane mięszane. Obejrzyjmy najprzód, przy pomocy p. Hippeau zakłady pierwszego rodzaju.

Największą cieszące się sławą, są: *Packer collegiate*

institute w Brooklyn; *Rutger's female college* w New-Yorku; a przedewszystkiem *Vassar college* w Poughkeepsie. Pierwszy z nich zawdzięczający istnienie swe hojności pani Packer, wybudowany na wyżynach miasteczka Brooklyn, posiada wszystkie warunki hygieniczne. i wszystkie środki do wyższego kształcenia się potrzebne. Dom sam wart jest 600,000 fr. a biblioteki i gabinety kosztują 50,000 fr. Roczny budżet wynosi 228,000 fr., z czego same pensje profesorów czynią 124,000 fr. Dyrektor np. bierze 18,750 franków.

Uczennic w 1868 r. było 750, podzielonych na trzy oddziały: oddział przygotowawczy, oddział gimnazjalny, oddział akademiczny; 156 uczennic uczyło się po łacinie, 140 po francusku.

Kursa tu trwają lat 6 i odpowiadają zupełnie, a pod pewnym względem przewyższają nawet kursa lyceów francuskich, i naszych gimnazji męzkich. Kończąca oddział akademiczny, młoda dziewczyna zupełnie jest przygotowaną do słuchania wykładów uniwersyteckich. Pan Hippeau zauważał ze zdziwieniem, że uczennice największéj chęci i zdolności okazywały do nauk ścisłych, mianowicie do jeometrji i algebry. Potém dopiero szła jeografja i historja, a na końcu języki.

Przyjętym tu jest także system swobodnéj dyskussji o faktach historycznych, któréj dowód zwiedzającemu słyszeć pozwolono.

Podobném z wielu względów do poprzedzającego jest *Rutger's-college*, tylko że matematyka bardziéj tu jest posunięta ze szkodą innych przedmiotów. W czwartym roku pobytu dziewczęta uczą się już trygonometrji, jeometrji analitycznéj, i rachunku różniczkowego. Prócz tego są tu wykłady *filozofji domowéj* (home philosphy) obejmującéj anatomję, fizjologję, hygienę, estetykę, kucharstwo, ogrodnictwo i sadownictwo, a które p. Hippeau, bardzo słusznie za niepraktyczne uważa.

Oba jednak powyższe zakłady przewyższa nieskończenie instytucja zwana *Vassar college*. Równéj nie było i nie ma na świecie, a istnienie swe, zawdzięcza ona także ofiarności prywatnéj. Niejaki p. Vassar zbogacony piwowar powziął lat temu kilka myśl szlachetną, by majątek swój poświęcić wzniesieniu instytutu dla dziewcząt, w którymby odbierać mogły wykształcenie takie, jak chłopcy w najlepszych kolegjach. W tym celu zniósł się z najuczeńszymi zwolennikami emancypacji kobiet, i uzyskał od kongresu uznanie swego zakładu, jako integralnéj części uniwersytetu.

Był to krok niesłychanie ważny, bo tym sposobem prawo otwierało kobietom podwoje uniwersytetów, i uznawało ich zdolnemi do uzyskania wszelkich przywilejów, do jakich dyplom uniwersytecki prawo daje.

To zdobywszy p. Vassar wybrał radę nadzorczą z 21 osób złożoną, i zebrawszy ją w 1861 r. złożył w jéj ręce 2,500,000 fr. na instytut rzeczony.

W przeciągu lat kilku powstał zakład przepyszny, opatrzony we wszystko na co tylko umiejętność zdobyć potrafiła. Ogromny budynek 160 metrów długi wznosi się nad brzegami Hudsonu, niedaleko od małego miasteczka. Piwnice zawierają nieskończoną ilość rur, rozprowadzających wodę zimną i ciepłą, powietrze świeże i gaz. Pierwsze i drugie piętro zajęte jest przez klassy i cały szereg gabinetów, laboratorjów, zbiorów, galerji i pracowni. Na około głównego budynku grupują się inne mniejsze, jak obserwatorjum z wybornym teleskopem i innemi narzędziami astronomicznemi, jak gimnastyki, łazienki, szkoła jeżdżenia i t. p. Daléj rozciąga się park przepyszny, ogrody owocowe i warzywne.

Dziewczęta przyjmowane są dopiero w 14 roku życia najmniéj. Przy wstępnym egzamenie kandydatki muszą tłumaczyć Cezara (4 księgę), Cicerona (4 mowę) i Virgiliusza (6 księgę); umieć algebrę aż do porównania 2 stopnia, retorykę i trochę historji powszechnéj. Kursa w zakładzie trwają lat 4 i obejmują następujące przedmioty: języki: łaciński, grecki, francuzki, niemiecki, włoski; matematykę, fizykę, chemię, geologję, botanikę, zoologję, anatomję, fizjologję, retorykę, literaturę angielską, literatury obce, logikę, ekonomię polityczną.

Znowuż program oczywiście za obszerny, ale za to uczennice nie są obowiązane chodzić na wszystkie przedmioty.

Nareszcie z objazdu trzech tych zakładów p. Hippeau wyciąga wniosek stwierdzony urzędowemi raportami, a mianowicie ten, że dziewczyny w niczem zupełnie nie ustępują chłopcom tegoż wieku, i uczącym się w zakładach z takimże programatem, a co już samo najlepiéj dowodzi praw kobiety do takiego samego wykształcenia.

ACH POWIEDZ!

Ach powiedz, powiedz! jaki Bóg
W nadziemskie ubrał cię szaty,
Abyś w piękności zbrojna łuk
Zbarzyła promienne światy.

Ach w obec ciebie niema nic!
Ty łamiesz prawa odwieczne,
I przed pięknością twoich lic
Promienie gasną słoneczne.

Niebiosa, ziemia, błękit wód,
Wszystko przepada i ginie,
Gdy ty w piękności zbrojna cud
Stajesz na światów ruinie.

Olśniewasz wszystkie światy trzy
Białością swojego łona,

Roskoszy dreszczem ziemia drży
Kiedy obnażysz ramiona.

Z ust twoich pijąc słodycz róż,
Z pragnienia umrzećby trzeba,
Ich ogień wstrząsa światem dusz
I pali najwyższe nieba.

A któż z śmiertelnych może znieść
Twą piękność w całym rozkwicie?
Kto może oddać tobie cześć
I jeszcze zachować życie?

Kto może myślą pieścić skroń,
Twych włosów bawić się splotem,
Kto pić namiętną może woń
I jeszcze nie umrzeć potem?

Tak jak konwalii biały kwiat
Usycha na twojém łonie,
Tak każdy byłby zginąć rad
Z uśmiechem szczęścia przy zgonie.

Lecz widząc ciebie, odejść znów
W samotne ziemi obszary...
Na te męczarnie niema słów,
I niema straszniejszéj kary!

Więc powiedz, powiedz! jaki Bóg
Zrobił cię światów królową...
Bo ja chcę umrzeć u twych nóg,
Byś mnie wskrzesiła na nowo!

El...y

NIEPOCIESZONA WDOWA

CZYLI

PLANETA I SATELICI,

komedja w 4-ch częściach, prozą

Z FRANCUZKIEGO PRZEZ MÉRY

PRZEŁOŻYŁA

Ludwika Sabowska.

(Dokończenie).

SCENA CZWARTA.

CIŹ SAMI, HIPOLIT, GABRJEL.

BARALIER. Możesz się pan zapytać tych panów...

HIPOLIT. Mój drogi Baralierze, oddaliśmy twoje zaproszenia na pocztę; jutro cały departament Loiret tańczyć tu będzie.

GABRJEL *(ściskając Baraliera).* Szczęśliwy śmiertelnik! świeży i młody jakby miał lat dwadzieścia!

BARALIER *(do Leona).* No cóż, wątpisz pan jeszcze?

LEON D'ORVIGNY *(chwytając za kołnierz Baraliera, w najwyższym gniewie).* Panie, gdybym nie szanował mieszkania kobiety, byłbym cię już udusił.

BARALIER *(drżąc z przerażenia).* Na pomoc moi przyjaciele!

GABRJEL *(przychodzi z głębi do Leona).* Panie...

LEON D'ORVIGNY. Mów pan ciszéj.

GABRJEL. Panie, kto znieważa mojego przyjaciela, mnie znieważa...

HIPOLIT. I mnie także.

GABRJEL *(do Hipolita).* Nie bądźmy we dwóch.

BARALIER *(cofając się).* Nie bądźmy we trzech.

GABRJEL *(do Leona).* Zdasz mi pan sprawę z tego dzikiego obejścia.

HIPOLIT *(do Gabrjela).* Uwolnijmy nasz zamek od tego natrętnika.

LEON D'ORVIGNY *(do Gabrjela).* Ah! przybywasz pan w samą porę! doprawdy, szukałem kłótni! dziękuję.

GABRJEL. Ja jéj szukam zawsze.

HIPOLIT. I ja zawsze.

BARALIER *(na stronie).* Ja nigdy.

LEON D'ORVIGNY *(do Gabrjela).* Daj mi pan rękę, panie, robisz mi prawdziwą usługę, będę ci za nią wdzięczny aż do twéj śmierci.

GABRJEL. Masz pan broń?

LEON D'ORVIGNY. Nie mam nigdy broni, panie.

GABRJEL. Ja przyjmuję każdą.

LEON D'ORVIGNY. A zatem wolno mi wybrać.

GABRJEL. Wybieraj pan.

LEON D'ORVIGNY. Znam tylko jedną, któréj gotów jestem użyć.

GABRJEL. Przyjmuję ją.

LEON D'ORVIGNY. Słowo honoru?

GABRJEL. Słowo honoru!

LEON D'ORVIGNY. Czy znasz pan most wiszący nad rzeką przed parkiem?

GABRJEL. Tylko co przechodziłem przez niego.

LEON D'ORVIGNY. Właśnie, to jest moja broń.

HIPOLIT. Chcesz się pan bić mostem?

LEON D'ORVIGNY. Tak jest.

HIPOLIT. Jak Horacjusz Kokles.

GABRJEL. Podobnéj broni nie ma w książce o pojedynkach pana Grisier.

LEON D'ORVIGNY. Jest w mojéj.

HIPOLIT. Pan masz tylko tę broń w swoim arsenale?

LEON D'ORVIGNY. Sposób użycia jéj jest bardzo prosty: *orzeł czy rzeszka:* kto nie zgadnie rzuca się głową na przód w rzekę, która w wielkiéj głębokości przepływa pod tym mostem, jest to potok, który pochłania najzręczniejszych pływaków.

BARALIER *(na stronie).* Wolę kąpiel w domu.

GABRJEL. Przyjąłem.

LEON D'ORVIGNY. Chodźmy, pański świadek będzie i mo-

im, panie; możesz sobie pan pochlebić, że mi oddajesz dziś wielką usługę.

Baralier. Nie ma czego. *(Wychodzą Leon, Hipolit i Gabrjel).*

SCENA PIĄTA.

BARALIER *(sam).*

Most jest wyniesiony pięćdziesiąt stóp nad poziom rzeki... zabić się trzeba lecąc, a potem się tonie... podwójna śmierć nieunikniona dla jednego lub drugiego... Jako filantrop życzę ażeby żaden z tych trzech nie pokazał się więcéj w tym zamku.

SCENA SZÓSZTA.

BARALIER, KAROLINA

Karolina. Widziałam trzech młodych ludzi wychodzących, idą krokiem przyspieszonym. Co się tu stało, panie Baralier? Pan to wiesz, odpowiedz mi.

Baralier. Lecz... ja nie wiem.

Karolina. Odpowiedz mi pan, lub zrywam pańskie małżeństwo.

Baralier. Nie ma w tem wszystkiem nic takiego, coby mogło niepokoić panią de Saint-Marc; ten nudny Leon d'Orvigny poszedł się topić.

Karolina. Ah! mój Boże! I tamci go nie zatrzymali?

Baralier. Przeciwnie.

Karolina *(otwierając drzwi i wołając).* Pani! pani!

Baralier *(na stronie).* Jest to chwila najwłaściwsza do ofiarowania bukietu.

Zechciéj te kwiaty przyjąć, pani...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ SAMI, PANI DE SAINT-MARC *(wchodząc spiesznie).*

Karolina. Pani, nie ma ani chwili do stracenia: to com przepowiedziała stało się.

Baralier *(zbliżając się).*

Zechciéj te kwiaty przyjąć, pani...

Pani de Saint-Marc *(wytrącając mu bukiet).* Cóż się więc stało, Karolino?

Karolina. Pan Leon d'Orvigny poszedł się zabić! widziałam go przechodzącego, był blady jak śmierć.

Pani de Saint-Marc. Spiesz pan do niego, na miłość Boską! Ocal go mój drogi Baralierze, spiesz pan do pana Leona!...

Karolina. Pański ślub zależy od téj usługi...

Pani de Saint-Marc. Tak, pański ślub... Biegnij pan więc...

Karolina. Ah! jeżeli on się chce utopić, to nie słowo pana Baraliera go zatrzyma.

Pani de Saint-Marc. Kobiety nie mogą przecież biedz przez pola jak szalone... Pan jesteś młody, panie Baralier... Biegnij!... Nie, nie, zatrzymaj się pan... przyszła mi myśl... *(Odwiązuje wstążkę czarną).* Weź pan tę wstążkę, i powiedz mu: „Pani de Saint-Marc daje to panu..." Tylko prędko! za powrotem pomówimy o pańskim ślubie.

Baralier. Pani, jestem posłuszny. *(Wychodzi pospiesznie).*

SCENA ÓSMA.

PANI DE SAINT-MARC, KAROLINA.

Pani de Saint-Marc *(siadając).* Karolino, nie żałujesz tych naszych słodkich nudów co się skończyły wczoraj rano?

Karolina. Nie, pani; nudy słodkie są zawsze nudami. Przynajmniéj wiemy że żyjemy! że istniejemy! godziny lecą! nasze serca biją! nasz umysł pracuje! Ten salon nie jest już grobem żyjących. Niech żyje życie! Pozostawmy groby umarłym.

Odźwierny *(oznajmiając).* Panna Desbuissons młodsza i pan Lemignard

Pani de Saint-Marc. Dobrze! brakowało tylko téj wizyty żeby mnie dobić.

(Wchodzą oznajmieni).

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ SAMI, LEMIGNARD, PANNA DESBUISSONS.

Panna Desbuissons *(do pani de Saint-Marc).* Droga sąsiadko, przychodzimy z panem Lemignard, dowiedzieć się o prawdziwości wielkiéj nowiny, o któréj wielu z naszych sąsiadów powątpiewa.

Pani de Saint-Marc. O jakiéj nowinie mówisz pani?

Panna Desbuissons. Mówią powszechnie że pani idziesz za mąż.

Lemignard. Odebraliśmy list zapraszający.

Pani de Saint-Marc. Tą razą wiadomość jest prawdziwa; idę za mąż.

Karolina. Idziemy obydwie za mąż.

Panna Desbuissons. Ah! tem lepiéj!

Karolina *(na stronie).* To znaczy: *tem gorzéj* w jéj języku.

Pani de Saint-Marc. Szczęśliwą jestem że pani pochwalasz mój związek.

Panna Desbuissons. Doprawdy!... powiedziałam nawet panu Lemignard: „Oto małżeństwo dobrane; tylko to przykre, że mąż będzie starszym od żony o lat trzydzieści." *(Wchodzi Leon, biegnąc, potem Baralier i Hipolit).*

SCENA DZIESZIĄTA.

CIŻ SAMI, LEON, HIPOLIT, BARALIER.

Pani de Saint-Marc. Kochani sąsiedzi, przedstawiam wam mojego męża. *(Podaje rękę Leonowi i przedstawia go).*

Leon d'Orvigny *(całując rękę pani de Saint-Marc).* Wdzięczność moją składam u twych nóg pani. Bóg

mi dał tylko jedno życie, a ty pani wskrzesiłaś mnie dwa razy.

Baralier. Za pozwoleniem panie, bo ja tego wszystkiego nie mogę dobrze zrozumieć... Więc to pan zaślubiasz panią?

je sto tysięcy posagu należy do pana. Masz pan moją rękę, nazywam się panią Baralier.

Baralier. Ah! nie rozumiem dobrze... Więc to pani chcesz mnie za męża?

Karolina. Lecz jeżeli się nie mylę, to jesteśmy już po słowie.



DZIEWCZE I SŁOWIK.

Hipolit. Czyż nie widzisz?

Baralier. A kogóż ja zaślubię w takim razie?

Hipolit (*wskazując pannę Desbuissons*). Tę panią zapewne.

Karolina. Jak pan jesteś roztargnionym, panie Baralier? Chwilowe wzruszenie odbiera panu przytomność. Mo-

Baralier (*na stronie*). Jak to dobrze żem nie położył na listach zapraszających, nazwiska mojéj przyszłéj!... (*głośno*). Ha! stało się, a ponieważ ktoś powiedział, że wdowa warta wdowy, więc przystaję, zwłaszcza że to już umówione.

Pani de Saint-Marc (*przychodząc na przód sceny, mó-*

wi do Hipolita). A gdzież się podziewa twój trzeci przyjaciel Gabrjel Lorot?

HIPOLIT. Utopił się kuzynko, padł ofiarą dzisiejszego dnia, nie jest szczęśliwym *(w orła i rzeszkę).*

PANI DE SAINT-MARC. Więc to był pojedynek?

HIPOLIT. Pojedynek na wodę słodką. Gabrjel utopił się z odwagą; niech mu rzeka będzie lekką! Mówiąc szczerze nie żałuję go. *(Wchodzi Gabrjel w ubraniu zmoczonem).*

SCENA JEDENASTA.

CIŻ SAMI, GABRJEL.

GABRJEL. Powracam... pomimo szczerych moich chęci rzeka nie chciała mnie na stałego mieszkańca; *(do Leona)* jestem więc jeszcze na pańskie rozkazy.

LEON D'ORVIGNY. Dobrze, a zatem proszę pana na dwa śluby: przyjmujesz pan?

GABRJEL. Czy będę miał wstęp do zamku po pańskim ślubie?

PANI DE SAINT-MARC. Zawsze... z nakryciem u naszego stołu, i sarnami w naszych lasach.

GABRJEL. Przyjmuję wszystko.

HIPOLIT. Ja także nie odmawiam nic.

PANNA DESBUISSONS *(do pana Lemignard).* Cóż pan mówisz o tych wszystkich małżeństwach?

LEMIGNARD. Pomyślę o tem... wieczór.

PANI DE SAINT-MARC. Karolino, co to jest małżeństwo?

KAROLINA. Pociecha po wdowieństwie, pani.

(*Zasłona spada*).

TYTUŁ I SZKATUŁA.

Obrazek współczesny

przez

WOŁODEGO SKIBĘ.

I.

List wesoły, którego smutnem przeznaczeniem było nie dojść do adresanta.

Dopełnimy tylko obowiązku prostéj wdzięczności, jeżeli rozpoczniemy od podziękowania bohaterowi naszemu za to, że nas uwalnia od kłopotu wprowadzania go w świat i prezentowania szanownemu zgromadzeniu pięknych czytelniczek i łaskawych czytelników. Bierze on ten kłopot w zupełności na siebie i w téj chwili właśnie zasiada do pisania rzeczy, która nam go zapewne lepiéj da poznać, niżby to autor w długim, a z konieczności suchym wstępnym rozdziale mógł uczynić.

Leży przed nim kilka arkuszy listowego papieru, dłoń ma uzbrojoną w stalówkę, pokryty grubą warstwą kurzu rezerwoar inkaustu znajduje się nieopodal, na ustach z łekka nakreślony uśmiech zdaje się mówić, że go do pisania wolna i nieprzymuszona wola a nie obowiązek lub potrzeba pracowania na chléb zapędza, rozpogodzone czoło świadczy, że mu bez trudu przyjdzie przelać na papiér obfity zapas zapewne nie smutnych myśli, — słowem jest już gotów zupełnie.

Uważajmyż bacznie na niego i czytajmy uważnie co napisze, gdyż potém mogłoby być zapóźno, wiadomo bowiem, że *verba volant* a *scripta* dosyć często rzucają się do pieca, i jeżeli słowo w przelocie jakie ciekawe ucho schwycić może, to myśli raz spalonéj już najbieglejszy chemik nie zdoła wydobyć z popiołów.

Charakter naszego bohatera jest drobny lecz bardzo przyjemny i regularny, — mówimy tu rozumié się o charakterze z kaligraficznego stanowiska, o charakterze, którym napisal piérwsze wyrazy swego pisma.

Piérwsze te dwa wyrazy określały natychmiast rodzaj utworu. Miał to być list do przyjaciela, a przynajmniéj do bardzo poufałego znajomego, bo go piszący tytułował swoim kochanym Stachem.

Po téj życzliwéj intytulacji nastąpiło bezzwłocznie dosyć pospolite zaczęcie:

„List twój odebrałem onegdaj, i chciałem ci odpisać natychmiast, wstrzymałem się jednakże, ażeby to uczynić dopiéro po dojrzałéj rozwadze.

„Rozważałem, medytowałem, oglądałem twoją propozycję na wszystkie strony, z wniosków wyprowadzałem konsekwencje, a z konsekwencji znowu wnioski, i w ostatecznéj konkluzji doszedłem do tego przekonania, że nie wiem czy kpisz ze mnie czy pytasz o drogę.

„To ci dopiéro projekt zajechał do głowy!... Daruj, gdybym nie wiedział, że metodycznie w każdym roku, wstrzymując się przez cały ciąg maja od wszelkich gorących trunków, siły swe restaurujesz i gasisz pragnienie mleczywem, gotówbym cię posądzić, że ci ten projekt przyszedł już nie po pierwszym, ani nie po drugim kieliszku.

„Człowiecze, także to dawno widziałeś mnie po raz ostatni, także to dawno odebrałeś mój list, w którym ci donosiłem wyraźnie, że w mojem położeniu nic się nie zmieniło, żebyś występował z taką radą?...

„Namawiasz mnie, żebym się przeniósł do Warszawy... po co?

„Gdybym był młodzieniaszkiem i rozpoczynał dopiéro życie, zapewnebym na oślep poszedł za twą radą, oszołomiony nadzieją zobaczenia wielkiego miasta, które mi się śniło co nocy w owéj epoce kiedy dostawałem wąsów. Widzisz ztąd jak twa rada była niebezpieczną.

„To szczęście, że twój przyjaciel zestateczniał w małém prowincjonalném miasteczku, i powiedział sobie, że kto do trzydziestego roku nie widział Warszawy, a pieniędzy na wyrzucenie nie ma, ten może poczekać, aż ko-

lej żelazną w jego okolicy poprowadzą, co kiedyś przecież nastąpić musi.

„Co chcesz zresztą, żebym w Warszawie robił?... Profesorem nie zostanę, bom sam ledwie pięć klas ukończył, o urząd starać się nie będę, bo przez czas aplikacji z głoduby umrzeć przyszło, do rzemiosła, choćbym miał dajmy na to ochotę, jestem za stary na terminatora, handel musiałbym zacząć od zapałek i szuwaksu, a do tego nie mam żyłki, — liczyć na stosunki, protekcje, pomoc, nie potrafię, a gdybym nawet potrafił, nie miałbym się na czém oprzeć nimbym je sobie powyrabiał, — jeżeli jest gdzie jaki wakans na pieczeniarza, to ci prędzéj kandydata nastręczę niż sam się przedstawię do kandydatury,— słowem, wszystkie drogi dla mnie zamknięte. Jestem już za stary, a jeszcze za biedny tak co do pieniędzy jak co do nauki. Warszawa nie dla mnie.

„Chyba, że który z fabrykantów narzędzi meteorologicznych potrzebuje próżni do barometrów, w takim razie mógłbym zrobić niezły interes w Warszawie, rozprzedając cząstkowo na ten użytek moje kieszenie, bądź więc łaskaw dowiedzieć się czy za ten towar dobrze płacą, czy niema zbytecznego dowozu, i czy jest nadzieja prędkiego rozkupu, a w razie twierdzącéj odpowiedzi, sprzedam wszystko co mam, przepłynę dziadowską wodę naszych okolicznych piasków i stanąwszy w nadwiślańskim grodzie popalę za sobą okręty.

„Nie przewidując jednak, żeby się taka spekulacja powieść mogła, urządzam sobie w myśli swoją przyszłość tak, jakbym długie lata, może na zawsze i najprędzéj na zawsze, miał pozostać w miasteczku, które tęskni za tobą, niewdzięczny emigrancie z naszéj parafji, coś o swojém gniazdku rodzinném dlatego tylko nie zapomniał, żeby z niego inne, przywiązańsze do swéj siedziby ptaki na szerokie przestworza wielkiego świata wywabiać.

„Tutaj uśmiechają mi się przenajrozmaitsze karjery, wszystkie tobie znajome i jedna nad drugą piękniejsze. Na miejscu, mówi przysłowie, kamień porasta; otóż i ja porosłem tu we względy, u wietrznych istot którym postaci zazdroszczą anieli. (NB. Nie miałbym nazbyt wielkiéj ochoty spotkać się kiedy oko w oko z aniołem, co pannie Kunegundzie Cudackiéj jéj kościotrupiéj postaci zazdrości). Z początku, kiedym skończył szkołę powiatową i rozpoczynał ten zawód, w którym mam już kilkanaście lat praktyki, a mianowicie klepanie biédy, nasze małomiejskie piękności nie raczyły na mnie spoglądać, teraz się to już odmieniło zupełnie. Też same, co przed kilkunastu laty tak zadzierały nosa, są teraz najuprzejmiejsze, najżyczliwsze. Jaka szkoda, że.... też same!... że ich kilkunasto-letnią historją jako panien na wydaniu pamiętam. Gdyby nie to, o przyjacielu mój i rówienniku, jużbym był może wybrał między kamieniczką panny Jadwigi, przypadającą do podziału na troje rodzeństwa, a dworkiem z trzema włokami gruntu panny Anieli, jedynaczki, — gdyby nie to, już byłbym może związał się dozgonnemi węzły z panną Hipolitą, która wkrótce po twoim wyjeździe obwieściła miastu i światu, że akta parafialne mieszczą w sobie grubą pomyłkę, albowiem nie ona ciebie lecz ty ją trzymałeś do chrztu.

„Niestety! pamięć staje tu sercu na zawadzie, nie dlatego jednak, żebym się na nie gniewał, że kiedyś wyżéj spoglądały, — przebaczam im to szczerze, mam je za wytłómaczone, sam wyznaję, że miały rację. Temu co mnie od nich odstręcza nie one winny, lecz te kilkanaście lat co ubiegły, kalendarz, astronomja, Kopernik.

„Nie powiem, żebym i ja nie myślał o ustaleniu swego bytu i o kimś z kimbym pragnął go podzielić, ta jednak, któréjbym najchętniéj powierzył królowanie w mojém parafialném królestwie, nie uważam za konieczne, ażeby była za bardzo w lata posażną. Niemoże niemieć nic, bo ja nic niemam, gdyby jednakże miała choć cokolwiek na pierwszy początek, nie ulęknę się dalszéj pracy i wyżéj sięgać nie będę.

„Ty który znasz tak doskonale nasze miasto, który niegdyś za szkolnych czasów utrzymywałeś katalogi panien na wydaniu, zamieszkałych tutaj i w okolicy, i dawałeś im stopnie z rozmaitych naukowych przedmiotów, a mianowicie z elegancyi, z porządku, z spokojnego zachowania się na nabożeństwie i z grzeczności względem studentów, ty który w tymże katalożku, w rubryce poświęconéj na uwagi, dopisywałeś obok imion niewieścich nazwiska męzkie, z taką trafnością, że wiele ich potém w kancelarji naszéj parafji zupełnie według twoich przewidzeń na aktach ślubnych się podpisywało, ty Stachu, zasięgnąwszy pamięcią do swoich wspomnień przedwyjazdowych, pomyślisz pewno, że w powyższym matrymonjalnym ustępie może być mowa tylko o Maryni Lubskiéj albo o Józi Papierkowskiéj.

„Mylisz się, kochany Stachu, mylisz się jak najzupełniéj. Od twojego wyjazdu wiele się w miasteczku naszém zmieniło. Nietylko panna Hipolita z twéj matki chrzestnéj na córkę zaawansowała, czy téż zdegradowała się, bo nie wiem czy to nazwać awansem czy degradacją. Skład płci pięknéj naszego miasteczka pomnożył się o jednostkę tylko, ale o jednostkę taką, przy któréj wszystkie inne wyglądają jak niewiele znaczące ułomki. Gdybyś mi złote góry i djamentowe pałace obiecywał w Warszawie, nie wyruszę ztąd, dopóki nie rozwiążę matematycznego zagadnienia: czy z dodania téj jednostki do takiego zera jak ja będzie mogło wypaść — małżeństwo.

„*Sufficit*! — zawołasz, jak poczciwy Bandurski, nasz niegdyś stary profesor łaciny, i powiesz sobie, że mi radzić Warszawy nie warto, kiedy mnie na prowincji magnes dwojga prześlicznych ocząt, błękitnych jak turkusy, zatrzymuje. Zamiast rad, w przyszłym liście obsypiesz mnie pytaniami, a może wyrzutami, żem ciekawości twojéj na domysł nie zaspokoił.

„Przewidując to wszystko, powiem ci jeszcze czego się dotychczas dowiedziałem o téj nowéj gwieździe, która na

horyzoncie naszym zaświeciła od dwóch tygodni, i stała się przyczyną, że bylbym odrzucił twoją radę, gdyby nawet była daleko praktyczniejszą ze względu na moje położenie.

„Astronomowie nasi nie mogą się jeszcze zgodzić czy to jest gwiazda stała, należeć mająca stanowczo do naszego gwiazdozbioru, czy też kometa która tylko chwilowo pokazała się w naszéj konstelacji, ażeby następnie bezpowrotnie powędrować w inne okolice wszechświata. Mówiąc prozą, panna Helena Szańska zawitała do naszego miasteczka przed kilkunastu dniami, przybywając w gościnę do swojéj krewnéj, znajoméj ci doktorowéj Pieprzyckiéj, i tak pozawracała głowy naszéj małomiejskiéj młodzieży, że żaden, mnie nie wyłączając, nie wpadł na myśl dowiedzieć się stanowczo, co jest za jedna, czy tu dłużéj zabawi lub zaraz wyjedzie, czy bogata i w ekonomicznem, czy tylko w estetycznem znaczeniu wyrazu, czy w sercu swém nie poprzysięgła wieknistéj dla płci niepięknéj nienawiści, lub co gorsza, czy w niém nie przywiozła zarodu wiekuistego przywiązania do jakiego téj płci reprezentanta. Potęga jéj wdzięków tak bezwarunkowo wszystkich podbiła, że o badaniu ziemskich, majątkowych, prozaicznych, powszednich stosunków téj co ich oczarowała dotąd nie mieli czasu pomyśléć, — kochają się tylko i basta. Kocha się Staś Wawrzycki, w czem nic dziwnego, bo jego serce takie zapalne jak hubka, kocha się Józik Potucki, ten sam co zwykle pisuje swe nazwisko przez *ó*, żeby było zewnętrznie podobniejszém do Potockich, kocha się Michaś Szczepik, który tylko co szkoły i pan Erazm Ogalski, który już oddawna piędziesiątkę ukończył, kocha się pan Wawrzyniec po dwóch żonach wdowiec, pan Roman, który z czterech wypraw po żonę przywiózł jedenaście koszyków, pan Piotr Palski z Zarębin, dziedzic obszernych włości z doskonale wyeksploatowaną hypoteką, powiadają nawet, że nasz Krezus miasteczkowy pan Izydor Pokrzywka, który dotąd tylko do stóp procentu szczególniejsze miał nabożeństwo, nie może się nawychwalać drobniuchnych stópek panny Szańskiéj.

„W tym szeregu i ja stanąłem, przyznam się, że z początku bez żadnéj nadziei zwycięztwa. Cóż jednak powiesz?... to co mi się w pierwszych dniach wydawało najniepraktyczniejszém marzeniem, dziś uważam za rzecz prawdopodobną, i zdaje mi się, że może... może... niedługo lub nieprędko, lecz zawsze może... inne się życie zacznie dla twego przyjaciela i kolegi.“

Napisawszy ten list prawie tchem jednym nasz bohater położył zamaszysty podpis. Wśród gustownych zakrętów ukazało się niezbyt spospolitowane imię i dość dźwięcznie brzmiące nazwisko: Stefan Mir.

Otóż list, w którym autor odmalował się nam zupełnie, kto wie tylko, czy nie nazbyt pochlebnie, pod względem niektórych rysów.

Powiedział, że ma lat trzydzieści, że jest biedny, że tylko pięć klass ukończył. Z całą skromnością przyznał się do ubogiego umeblowania swéj głowy, którą jednak musiał już po skończeniu szkoły powiatowéj zaopatrywać w rozmaite sprzęty, ci bowiem, którzy nie troszcząc się o więcéj noszą spokojnie taką tylko głowę, jaką im w piątéj klassie urządzono, niekoniecznie podobno zdobyćby się potrafili na dość potoczyste i poprawne, tu i owdzie dowcipem zaprawione zaimprowizowanie podobnie długiego listu. Był więc skromny, miał jakąś dozę naturalnego lubo niezbyt głębokiego dowcipu, drugą podobną dozę złośliwości nie za bardzo jadowitéj, trzecią spokojnéj rezygnacji i, optymistycznego godzenia się z swym losem. Daléj w skład jego moralny wchodziło wiele uczucia, nie zrywającego się do gwałtownéj namiętności, spokojnego, cichego, lecz, jak to za prawidło bez wyjątku przyjęto, dającego więcéj gwarancji stałości, siły i wytrwania.

Z innych rysów jego charakteru zasługuje na uwagę, że przyszłość swoją opierać zamierzał na pracy, lekceważył stosunki, protekcje, pomoce, pieczeniarstwem się brzydził, lubił a może kochał swoje gniazdo rodzinne i na świat szerszy z niego wylecieć nie pragnął.

Drobna, przelotna wzmianka o Józiku Potuckim, który ortografją pragnął uarystokratycznić swoje nazwisko, dozwala dodać do tego zarysu, że Stefan Mir czuł całą śmieszność owych pretensji i przesądów rodowych, które nam stare czasy przekazały, a których pomimo postępu i wyraźnego przekształcenia się ducha epoki pozbyć się dotąd nie potrafiliśmy, jeśli nie jako ogół, to przynajmniéj jako liczne, aż zabardzo liczne jednostki.

Przeciw tym wszystkim wnioskom, jakie z listu naszego bohatera wyprowadzić można, to jedno tylko jest do nadmienienia, że należy zachować pewną miarę i ostrożność w przyjmowaniu ich za pewniki, dla tego, że na ich poparcie nic dotąd oprócz jego słów własnych nie mamy. W życiu jesteśmy często inaksi, niż się sami sobie przedstawiamy, a daleko częściéj inaksi, niż się przed stawiamy innym.

Szperając starannie w przeszłości Stefana Mira, nie mogliśmy odszukać nic takiego, coby powyższą jego charakterystykę podać mogło w wątpliwość, zdaje się więc, że w chwili, w któréj pisał i dobrze się rozumiał i wiernie przedstawiał. Czy umiał pozostać takim nadal, zależeć to musiało w znakomitéj części od okoliczności, w jakich miał się znaleść w przyszłości, od sposobu w jaki się miał zabrać do walki z niemi, gdyby były przeciwne, albo do korzystania z nich, gdyby być miały sprzyjające.

Nic więc dotąd przesądzać się nie godzi, nawet czy list który napisał, zapieczętował, na którym położył adres i przylepił markę pocztową, dojdzie do miejsca swego przeznaczenia.

Jak się zdaje Stefanowi szło bardzo o to, żeby doszedł, bo natychmiast po zapieczętowaniu i zaadresowaniu ubrał się i wyszedł, ażeby go odnieść na pocztę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dodatek

DZIEWCZĘ I SŁOWIK.

(z drzeworytem)

„Ej słowiku, nieznośne ty ptasze,
Co mi zasnąć nie dajesz do rana;
Nie wiész, co to noc dla nas niespana,
Nie wiész, co to w niéj dumki te nasze.

Śpiewasz bo ci wesoło i błogo,
Bo cię luba twa słucha z rozkoszą,
Echa piosnki twe chciwie roznoszą,
A ja nie mam nikogo! nikogo!

Nikt nie widzi méj krasy dziewiczéj,
Nikt tęsknoty i troski nie dzieli;
Więc i cóż mi do twoich tam treli?
Co mi do twéj piosenki słowiczéj?“

A słowiczek wciąż śpiewa namiętnie,
W tonach rzewnych się cały rozpływa;
Miłość w pieśni się jego odzywa,
Rozkosz w każdém odzywa się tętnie.

I jak gdyby chciał mówić dziewczynie:
„Nie gardź moją piosenką prostaczą,
Bo jéj pora już prędko przeminie...
Ludzie dobrzy twe wdzięki zobaczą.

Poznasz miłość, bo ona jest wszędzie,
Z jéj się poznasz tęsknotą i trwogą,
I méj piosnki zapragniesz, niebogo,
Ale wtedy mnie tutaj nie będzie.“

Antoni Kolankowski.

Teatr. — Po kilkudniowéj pauzie z powodu świąt widzieliśmy na scenie naszéj parę drobnych komedyjek w rodzaju dodatku do sztuk p. *Méhay* nadwornego fizyka z Paryża, następnie znaną z niższego stopnia komiki farsę p. t. „Gałganduch“, a w końcu „Zemstę za mur graniczny“ hr. *Fredry*.

P. Méhay jest bezwątpienia najzgrabniejszym i najwięcéj eleganckim ze wszystkich widzianych tu tego rodzaju artystów, lecz biegłość jego palców nie kwalifikuje się bynajmniéj do naszéj rubryki, jak również nie kwalifikuje się tutaj tak mizerna i obegrana farsa jak „Gałganduch“, wrazie nawet gdy główne role oddawane są z tak wyśmienitą komiką jak ją zaprodukowali pp. *Eker* i *Benda*. Przystępujemy zatém do jedynego na dzisiaj resursu t. j. do przedstawienia znanéj komedji Fredry „Zemsta za mur graniczny.“

Niepodobna powiedzieć aby przedstawienie to było zupełnie nieudatne, lecz trudniéj jeszcze przyznać aby było zadawalniające. Detale wyszły mniéj lub więcéj dobrze, każden z artystów miał szczęśliwe ustępy, chwile wywołujące oklaski, lecz całość wysnuła się nieco blado, jakby niewykończenie.

P. *Rychter* (Cześnik Raptusiewicz) którego grze oddawaliśmy dotąd dobrze zasłużone uznanie, niezupełnie nas tą razą zadowolnił. Doskonałe było detaliczne oddanie postaci jak ją sobie p. R. wyobraził, lecz ogólowe to wyobrażenie trafném nie było. Z Cześnikiem spierać się nie będziemy, lecz cóż się stało z Raptusiewiczem? Dobroduszny Cześnik-Polonus mógłby z okrągłością postaci łączyć okrągłe ruchy i potoczystą mowę, sangwiniczny Raptusiewicz jednak powinienby raczéj przyjąć tak w akcji jak w dykcji styl więcéj ucinkowy.

P. *Benda* (Papkin) zrobił wiele, ponieważ z trudnéj nadzwyczaj roli wywiązał się bez przesady, Papkin jego jednak dorósł zaledwie do połowy tego jakim być powinien. Pełen elegancji fanfaron w słowie a kurczący się w konwulsjach komiki tchórz w czynie, śmieszny w robionych samemu sobie reflexyach, ma Papkin nadzwyczaj trudne zadanie. Wszystko w nim jest nienaturalne więc śmieszne, dać całości odpowiedni każdéj sytuacyi polot prawdziwéj komiki i ustrzedz się przesady pośród nienaturalności, jest rzeczą wprawdzie podobną ale nad wyraz trudną.

Powiedzieliśmy, że p. B. nie przesadził, teraz dodać należy, że w takich scenach jak: z gitarą, w mowie o artemizie, w napadzie na murarzy, skrzydła komiki zdawały się być podcięte. Stosunkowo najlepiéj wypadła scena u Rejenta, a najsłabiéj monolog o krokodylu.

P. *Rapacki* (Rejent Milczek) był głównym tryumfatorem wieczora, bo też gra jego nie zostawiła nic do życzenia.

Wyborną była jak zwykle p. *Ekerowa* (Podstolina), zasługi jéj na naszéj scenie są tak wielkie, że trudno nam za każdą razą powtarzać też same pochwały.

P. *Ladnowski* (Wacław) wywiązał się pomyślnie z małéj swéj roli, zaś p. *Bauman* (Klara) była zanadto sztywną i aż do przesady strojnie ubraną. *O...le.*

α. δ. **Kronika.** — *Nowy rok robi niespodziankę krakowiakom. — Bezik grasuje epidemicznie. — Kurjer funkcjonuje na pociechę Krakowian. — „Mrówka.“ — Słówko o nadziejach karnawałowych.*

Zapowiedziany przez wszystkie kalendarze a oczekiwany przez tych którzy albo kupony odcinają od listów zastawnych, albo odbierają procenta, rok 1870 zjawił się nareszcie.

W Krakowie podobno niespodziewano się go tak prędko. Nasi astronomowie pomylili się w rachunku i jak mówią mają wytoczyć proces nowonarodzonemu, że ich zaszedł tak niespodziewanie nieuprzedziwszy wprzódy.

Całe grono naszych uczonych znajdowało bowiem się podobno przy partji *bezika* bez biretów i tog akademickich.

W skutek więc tego jak mówią i dobrodziejstwa autonomiczne opóźnią się jeszcze na czas niejaki — a niejedne noworoczne nadzieje spełzną na niczem. Zostawmy zresztą przy-

szłość w rękach naszéj delegacji — która (delegacja) pewnie spokojniejszą jest o nią (przyszłość) niż my sami.

Nowy rok więc zaczął się na dobre a z nim i karnawał i tańce i zabawy. — Jest więc perspektywa że i śnieg niedługo spadnie aby uzupełnić spis wszystkich zimowych rozkoszy. Bowiem ludzkość spragniona sanny zaczyna się już nudzić bez zimy. Czas taki wyjątkowy wpłynął niezawodnie na zjawienie się „Kwiatów“ na gruncie krakowskim. Prospekt musieliście już czytać, a pierwszy Ner ujrzycie wkrótce. Ma to być jednakże czysto krajowa niewidziana jeszcze roślina. Jeżeli więc jest coś niewidzianego pod słońcem — zobaczymy.

Od świtu bożego, biega już po Krakowie „Kurjer Krakowski“ z całą śpiżarnią nowinek brukowych i wiadomości przerozmaitego gatunku. Wściubski ten, podobno wszędzie ma prawo zaglądać i zdradzać największe sekreta; ba, jak mówią (może to bajka) ale i tam nawet bywa gdzie „Djabeł“ nie może.

Rezerwując więc sobie względy „Kurjera Krakowskiego“ z którego mamy nadzieję czerpać pełną ręką nowiny brukowe, życzymy mu aby dosiego roku mógł się poszczycić przynajmniéj kilkoma tysiącami prenumeratorów.

A kiedyśmy tak niechcący znaleźli się na torze dziennikarskich wiadomości — wiem że nie będziecie się na mnie gniewać jeżeli wam powiem iż pracowita i godna pochwały „Mrówka“ od nowego roku w nowe przystraja się szaty, szkoda tylko że zamienia się na pismo *miesięczne.* Zasługi jakie położyło wydawnictwo tego pisma bezprzykładną *taniością i doborem* dzieł swojéj biblioteczki, zjednały mu sympatją i uznanie u czytelników. Szczęść więc Boże i nadal poczciwéj „Mrówce“ lwowskiéj.

Obawiając się, bym waszéj cierpliwości nie wyczerpał zupełnie, przyrzekam nie wdawać się więcéj w podobne uwagi. Zresztą karnawał i maskarady krakowskie dadzą mi niezawodnie obfity materjał i pogrążą mego ducha w studjach nad walcem i galopką. Do których nie porobiłem jeszcze co prawda zamówień i obstalunków, ale mam wszelką nadzieję że znajdę wpośród muzyki, gazów i kwiatów balowych jeden choćby prześliczny kwiateczek, który raczy z uniżonym waszym kronikarzem przegalopować choćby jeden kruciutki rozdział o... polce. Przyznam się że do tego zaniedbania przyczynił się wiele i list, który mi przysłano z Przemyśla.

W liście tym podpisane solidarnie piękne przemyślanki za to żem w wigilją św. Andrzeja życzył wam piękne panie abyście znalazły mężów co najprędzéj, obiecują zająć się moim losem — i w bieżącym karnawale podać mi rączkę, abym na wzór wszystkich moich kolegów żonatych, wybrał sobie dozgonną towarzyszkę życia. — A ponieważ wszystkie piękne panny z Krakowa są... na wydaniu, tém przyjemniéj mi będzie spotkać piękne kwiatki z nad Sanu wśród kwiateczków wypielęgnowanych w cieplarniach naszych salonów krakowskich. Zapytacie się zapewne dlaczego na dowód wiarogodności tego co piszę, nie daję wam owego listu w oryginale? — Ha, to już mój sekret. Zresztą, mam nadzieję, że mi wszyscy wierzycie na proste słowo kronikarskie.

*** *Kalendarz* illustrowany powszechny na rok 1870 *A. Nowoleckiego* wyszedł z druku i kosztuje 65 c. — Kalendarz ten mieści w sobie wszystko co tylko może być potrzebne do wiadomości podręcznych.

*** *Odczyty popularne* dla kobiet w Muzeum Techniczno - przemysłowem odbywają się codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych od godz. 4 do 6. Praktyczny wybór przedmiotów wykładanych i licznie zawsze gromadząca się publiczność, jest najlepszym dowodem o potrzebie podobnych wykładów, które zawdzięczamy niezmordowanéj pracy około podniesienia u nas oświaty, szanownego założyciela Muzeum Dra Adryjana Baranieckiego.

Mody na **styczeń.**

Opis ryciny.

Pierwsza dama nosi suknię powłóczystą z popielatéj materji, garnirowaną fijołkowym aksamitem i falbaną szeroką, wychodzącą z boku z pod szarf a zakończonych u dołu franzlą szeroką. Stanik pod szyję garnirowany w kształcie mantylki aksamitem fijołkowym i frendzlą. We włosach fijołki.

Druga dama nosi suknię orzechową z materji jedwabnéj, garnirowaną koronkami białemi i czarnemi. W tyle, tunika spięta w buffę.

Opis krojów.

Krój stanika:

Przód — | — | — |
Plecy — — — — —
Boczek + + + + +
Rękaw —— – —— – ——
Kołnierz i klapki ———

ODWROTNA STRONA ARKUSZA KROJÓW.

Fig. 1. Wzór na spódnicę wyrobiony atłaskiem i w drobne dziurki.

Fig. 2. Wzór na falbankę robiony sznureczkiem i w małe kropki — w każdym ząbku gwiazdka ściegiem ruskim.

Fig. 3. Imię „Olympe“, robione podwójnym sznurkiem i w kropki wypukłe.

Fig. 4. Imię „Leonie“, robione sznureczkiem i w listeczki złożone z drobnych kropek.

Fig. 5. Imię „Valentine“, robione atłaskiem, sznureczkiem i w drobne kropki.

Fig. 6. Wzór na kaftaniczek pikowy wyszyty sutaziem.

Fig. 7. Narożnik do chustki lub na krawatkę, haftowany atłaskiem, drobnemi kropeczkami i ściegiem ruskim.

Fig. 8. Imię „Albina“, złożone z ząbków dzierganych i drobnych dziureczek.

Fig. 9. Połowa rękawka do kaftanika.

Fig. 10. Głoski B. L. do haftu na poduszki wyrobione atłaskiem, ząbkami dzierganemi i grubo sznurkowanemi dziurkami.

Fig. 11. Monogram z C V robiony sznureczkiem i ściegiem ruskim.

Fig. 12. Czepeczek dla dziecięcia haftowany atłaskiem i dziureczkami.

Fig. 13. Denko do czepeczka.

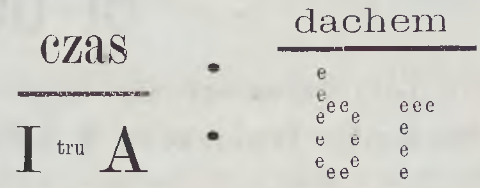
Fig. 14. Głoski P. B. wyrobione atłaskiem zielonem.

Do dzisiejszego Nru dołącza się dla prenumerujących ***rycina mód oraz arkusz wzorów i krojów.***

Korespondencja „Kaliny.“

P. L. K. we Lwowie. — Wiersz pański robi wrażenie człowieka, który twarz krzywi aby być śmiesznym. — Ani poezji, ani nawet dobréj ortografii.

REBUS.



Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w a.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c.— półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Wiślna, albo w księgarni J. Czecha lub F. Baumgardtena.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcji.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera. Rządzca drukarni *Józef Łakociński.*